Rozmaitości

Dnia 31. Października **Nr. 44.** **Roku 1840.**

CODZIENNA MODLITWA
MŁODEGO LEKARZA PRZED ODWIDZENIEM CHORYCH SWOICH.*)

Najdobrotliwszy! mądrości pełne utworzyłeś życie człowieka. W nim zjednoczyłeś Miryjadę**) narzędzi, które dla utrzymania i żywienia ślicznej całości, téjto odziewy nieśmiertelnego ducha, bez ustanku są czynnémi. Pracują one tajemnie i nieprzerwanie w jedności, zgodzie i największym porządku. Lecz gdy niedołężność materyi lub wzbujałe namiętności zgodę tę zerwą, wtedy siły w spór idące doznają przeciwieństwa, a ciało rozwiązuje się i wraca w pył pierwotny, z którego wszczęt wzięło. Ty zsyłasz człowiekowi dobroczynne zwiastuny, choroby, które zapowiadając mu zbliżające się niebezpieczeństwo, zmuszają go usuwać je zawczasu.

Tyś upłodnił Twoję ziemię, Twoje góry, Twoje rzéki w życio-dajne ciała, które cierpienia stworzeń Twoich uśmierzyć, a ich samych od zagłady ochronić mogą.

A człowiekowi nadałeś mądrość, że może ciało człowiecze rozewrzéć i w jego stworze ład lub nieporządek rozpoznać, i dałeś mu sposób wywołania owych ożywnych pierwiastków z ich tajników, zbadania ich przymiotowości, urabiania jéj, i użycia na niemoc wszelaką.

I mnie obrała wieczna opatrzność Twoja na czuwanie nad życiem i zdrowiem stworzeń Twoich. Zabiéram się więc w skutek świętéj woli Twojéj do powołania mojego. Wspiéraj mnie Wszechmocny, Najdobrotliwszy w tém wielkiém zatrudnieniu, aby zbawiennem było! Gdyż bez Twojéj pomocy, nawet w najmniejszéj drobnostce powieść się nie może.

Dozwól, by mnie ożywiała miłość do mojego umnictwa, miłość do stworzeń Twoich! Nie daj, by żądza zysku, sławy lub odznaczenia się, do mojéj czynności się miészała; gdyż takowe nagabania są nienawistne wrogi prawdy i miłości bliźniego, i snadnoby w tém wielkiém powołaniu wspiérania dzieci Twoich, w obłęd wprowadzić mnie mogły.

Utrzymuj w czérstwości siły ciała i duszy mojéj, by równie dla bogacza i ubogiego, dla dobrego i złego, dla przyjaciela i nieprzyjaciela, zawsze chętnie i niespracowanie na pogotowiu były! Dozwól, niech w ciérpiącym tylko człowieka widzę! Wszakże i Ty stwarzasz i zachowujesz człowieka bogacza i ubogiego, dobrego i złego, przyjaciela i nieprzyjaciela.

Utrzymuj w zdrowiu i prostocie mój rozum, aby dobrze pojął obecne, a z pewnością domyślił się tego, co nieobecném. Nie daj mu podupaść, by nie przeoczył tego, co widoczne, ani téż dozwól mu zaciéc się zbytkownie, i widziéć to, co przeoczyć powinien; gdyż cienką i niepostrzeżną jest granica w wielkiém umnictwie pielęgnowania życia i zdrowia stworzeń Twoich.

Dozwól, aby duch mój zawsze był sobie oddany! Przy łożu ciérpiących, niech go

*) Klasyczna modlitwa ta, jest przez sławnego lékarza Majmonidesa napisana, przez Mendelsohna przełożona, a przez nas z dzień. niemieckiego »Mnemosyne« wyjęta.

**) Miryjada — Dziesięć tysięcy — Ćma — Niezliczona moc. Wyrazy Biblijne. Przyp. Red.

żadne inne nie biorą myśli! Niech mu będzie w łacną posługę wszystko, czego rozmyślaniem i doświadczeniem nabył, i niech mu nic w cichéj pracy jego w przeszkodę nie idzie! Gdyż uroczystą, wielką i świętą jest cicha praca zachowania życia i zdrowia stworzeń Twoich.

Daj, aby chorzy moi do mnie i do mojego umnictwa dobrą wiarę mieli, i w miarę napomnień moich się wiedli! Oddal od ich łoża wszystkich partaczów w niedobre krzywiących to, com Wszechmocny za pomocą Twoją uładził; oddal rzeszę doradczyń i utajemniczonych guślarzy, gdyż to są ludzie okrutni, którzy z próżności mniemanéj wiadomości swojéj, zbawienne skutki wielkiego, świętego umnictwa niweczą, i stworzeniom Twoim śmierć przywolują!

Gdy mądrzejsi nademnie lékarze nauki i oświécenia udziélać mi będą, spraw, aby duch mój był im powolny i za dobroć ich wdzięczen, gdyż przestrzeń umnictwa jest niezmierzona, a jeden człowiek wszystkiego wiedzićć nie może! Lecz gdy mędrkowie, wziętością odęci, potępiać i wyszydzać mnie będą, o, wtedy użycz, niech miłość moja ku prawdzie i umnictwu odzieje ducha mojego nieprzebitym puklerzem, abym bez względu na ich sławę, wiek i znaczenie, przy uznanéj prawdzie stał mocno, gdyż uległość w tym razie, byłaby zbrodnią, a zgubą dla stworzeń Twoich!

Wléj w serce moje łagodność i cierpliwość przeciw dziwaczno-nieprzyjaznym chorym i starszym kolegom moim, którzy pyszni z liczby lat swoich, zawsze mnie usuwać, nademną przewodzić i górować zechcą! Daj, aby wiadomość ich w pożytek mi była, gdyż niezawodnie wiedzą oni nie mało, co dla mnie jest obce; spraw, aby zarozumiałość ich nie szkodziła mojéj spokojności, gdyż oni są starzy, a starość, na nieszczęście, nie zawsze nad nierozsądkiem i namiętnością górę brać może! Wszakże i ja mam nadzieję w Tobie Najdobrotliwszy, że i mnie téż na tym padole postarzéć się dozwolisz!

Spraw, bym we wszystkiém na małém przestawał, tylko nie w nauce umnictwa mego! Użycz, niech w téj mierze zawsze nienasyconym i spragnionym będę, niech się i pomyśléć wzdrygam, że już wiém i umiém wszystko! — Udziel mi siły, swobody, popędu i sposobności do sprostowania i zbogacenia wiadomości moich, bo jakkolwiek umnictwo jest niezmiernie wielkie, to przecież i rozum człowieka nieskończennie wiadomość swoję rozszérzać jest zdolen, i zawsze on więcéj i więcéj w około siebie ogarniać może. W mojéj wiedzy wczorajszéj odkrywa on dzisiaj błędów nie mało, a w tém co wiém dzisiaj, jutro pełno pomyłek znaleźć może.

Najdobrotliwszy! Tyś mię na czuwanie nad życiem i śmiercią stworzeń Twoich przeznaczył. Zabiéram się więc zadość czynić powołaniu mojemu.

Dopomagaj codziennéj pracy mojéj, by zbawienną była! Gdyż bez pomocy Twojéj w najmniejszéj drobnostce powieść się nie może! Spuść na mnie swego światła promienie, które nierównie z dzielniejszą wielmożnością z ciebie idą, niżli z palców któregokolwiek błogosławiącego namiestnika na całym tym padole.

GÓRALE.

Nie wiém, czyby badacz natury ludzkiéj u którego szczepu narodu znalazł tyle zadowolnienia w swoich badaniach, jak u mieszkańców gór wysokich, lub czyby przyjaciel ludzkości używał gdzie chwil szczęśliwszych, jak w towarzystwie Górali, w Karpatach na przykład.

Tam działanie sztuki i cywilizacyi jest nieznaczne. Górale wyniesieni nad nizkość ziemi, bliżsi nieba, równie od morowego powietrza jak od zepsucia moralnego są bezpieczni, bo góry ich służą im wiecznie za niezwyciężone tarcze. Tam obłuda nie zatarła jeszcze pierwotnego śladu człowieczeństwa. Mowa Górali jest mową serca.

Góral jest prosty, jak natura, w któréj mieszka; otwarty, szczéry, szczodry, bardzo łatwowierny, albo bardzo podejrzliwy; religijny aż do zabobonności; czuły, popędliwy, współubolewający, gościnny, rozsądny, przezorny, odważny, wytrwały, pracowity, zręczny, silny, zdrów i wesół.

Postaram się, com dopiéro o Góralach powiedział, usprawiedliwić.

Góral oderwany górami od reszty świata, zostawiony zupełnie naturze, pod jéj rządem stoi, jéj prawa wykonywa i jéj się całkiem poddaje. A jako taki, musi być Góral dobrym, bo wszystko w piérwotnym naturalnym stanie jest dobre. Natura nic złego nie wydaje. On jest żywym jéj obrazem. Wszystkie jego czynności i mowy są proste i otwarte; bo téż i natura nic umyślnie skrycie nie działa. Jest szczéry, szczodry, życzy każdemu dobrze; chciałby każdemu pomódz, bo i natura swoich skarbów zarówno wszystkim udziela.

Z tém wrodzoném uczuciem dobrego, jest łatwowierny. On wszystkich ludzi za dobrych uznaje, bo o złém, jak dziecko, nie ma jeszcze wyobrażenia; nie wié, jakto można być złym. Ale niechto raz tylko pozna, niech tylko raz wysunąwszy się za granicę gór swoich, przy swéj dobroduszności oszukanym, zdradzonym i skrzywdzonym będzie, lob niech choć widzi oszukaństwo, zdradę i krzywdę — o, wtenczas złe nagle, jak piorun przy pogodném niebie, w jego serce uderzy, zrazi go i zupełnie przeistoczy. Chcąc powetować swéj krzywdy, a nie mogąc na jednéj winnéj pomścić się osobie, będzie wszystkich oszukiwał. Z łatwowiernego stanie się najpodejrzliwszym.

Zdaje się, że taka nagła zmiana duszy jest nienaturalna, niepodobna. Ale nie — nie jest to odmiana charakteru, tylko odmiana pewnego stanu duszy. Duszą Górala jest serce, bo rozum jego pod serca panowaniem stoi. A uczucia serca — czyż nagle odmienić się nie mogą?

Przytém jednak zawsze zostaje otwartym, obłudnym być jeszcze nie umié. On podejrzliwości swojéj przed nikim bynajmniéj nie ukrywa; każdego ma za złego, i to mniemanie o nim czynem i słowem jawnie mu okazuje. Z tąd pochodzi między niektórymi obrażonymi obcymi przesadne mniemanie o złości Góralów. I dla tegoto pewnie X. Stasic w swojéj rozprawie o ziemorodztwie gór, przypisuje Góralom mściwość.

Ale mściwość ta Górali nie jest nigdy tak zacięta, jak we Włoszech, aby póty niespoczywała, póki się na przedmiot swéj nienawiści nie wyleje. Góral obchodząc się z każdym szczérze i otwarcie, słusznie wymaga, aby się i z nim podobnie obchodzono. Gdy zaś przeciwnie go kto traktuje i krzywdzi, słusznie się serce jego oburza i zawiedziony w dwójnasób, chce swoje wynagrodzić. Jeżeli to nazywa się mściwym być, Góral jest mściwy. Przecież nikt tak łatwo przebłagać się nie da, jak ón, choćby mu największą krzywdę wyrządzono; jeżeli tylko o szczéréj chęci zgody i poprawy obrażającego się przekona, co tém trudniéj jest, im częściéj zawiedzionym został.

Górale są także bardzo religijni. I nic dziw. Otoczeni cudami natury, łatwo się wznoszą do pojęcia wszechmocności Boga. Niebotyczne góry głośniéj do ich serc przemawiają i jaśniéj im moc stwórcy okazują, niż obszérne pola dziedzicowi nizin, bo tamte zmysłom obfitsze źródło działania przedstawiają.

A że codzień nowe widzą przedmioty, codzień nowe zjawiska natury oglądają, których przyczyny nie mogą pojąć ani rozumem odgadnąć, dla tego wyobraźnia ich tyloma cudami wzniecona i ożywiona, buja po przestrzeniach świata zaczarowanego, a z niego nie zchodzi powoli po kamiennych wschodach dociekania do czystego źródła prawdy, bo się topi w zamętach uczuć religijnych — dla tego są zabobonni.

Góral z wyobraźnią, olbrzymiemi przedmiotami ożywioną, i uniesieniem religijném rozognioną, musi być więcéj, niż inni czułym, tak, iż więcéj sercem niż rozumem żyje, i dla tego jest popędliwym.

Przytém, że skąpa ziemia Górala niewynagradza dostatecznie prac jego, i często pomimo wielkich usiłowań z jego strony, w największym niedostatku go zostawia — dla tego, że sam często jest nieszczęśliwy, przy bujnéj wyobraźni tém łatwiéj umié się myślą przenieść w nieszczęścia innych, cierpi z każdym cierpiącym, — jest nadzwyczajnie współubolewającym. Nikt tak prędko i tak chętnie jak Góral nie dzieli się ostatnim kawałkiem placka owsianego.

I niepospolita gościnność mieszkańca Karpatów, da się łatwo z jego położenia na ziemi wytłumaczyć. — Czuły, a odosobniony człowiek nie może nie być gościnnym,

nie może się nie cieszyć z przychodnia do swéj samotnéj chatki. A Karpaty dla bardzo szczupłéj tylko liczby stworzeń, pożywienia dostarczyć mogą. Domy góralskie powiększéj części pojedyńczo stoją, i są bardzo daleko od siebie oddalone, bo jedna familija do utrzymania życia swego nie małego kawału ziemi potrzebuje. Do tego przyłączmy ciekawość, a przestaniemy się dziwić, że biédni Górale, dalekich gości tak chętnie i tak uprzejmie w swym domu przyjmują.

Przy wielkiéj czułości i żywéj wyobraźni Górali, nie myślmy, żeby rozum ich był całkiem zaniedbany. Więcéj rozumu, wytrwałości, mocy i pracowitości miéć trzeba, aby z twardego, zimnego i częstym wylewom podpadającego grzbietu Tatrów, trochę owsa lichego i ziemniaków wodnistych wydobyć, niż aby z nadwiślańskich nizin piękne urodzaje zebrać.

Więcéj rozsądku, zręczności, przezorności, przytomności ducha, odwagi i męztwa potrzeba, aby po spadnistych skałach Tatrów nad nieprzejrzaną przepaścią za sarną gonić, niż oby dzika w lesie litewskim położyć.

Nie dziw więc, że Górale tocząc walkę nieustanną z nieużytością ziemi, z olbrzymią okropnością gór, z zajadłością zimnego, rozhukanego powietrza, z wściekłością wody, z surowością natury, nauczyli się dosyć przebiegłości, męztwa i wytrwałości, aby wszystkie te przeciwności i przeszkody, wszystkie zamachy rozgniewanych żywiołów pokonać.

Tatrzanin musi pracować nieustannie, nietylko aby na lichą żywność dla siebie i swojéj familii zarobił; ale także, aby należyte ciepło w ciele swojém utrzymał. Czego członkom jego promienie słońca i ciepło ziemi nie dodaje, tego mu udziela ruch pracowitego ciała.

Czystość i ochędóstwo są skutkiem pracy, zdrowie trwałe jest skutkiem ochędóstwa, pracy, mierności i powietrza czysto-zimnego, a wesoły, dowcipny i swobodny humor Górala, jest skutkiem zdrowia i nagrodą wszystkich prac i trudów jego.

Wiémy już dla czego nas zastanawia czystość i porządek w przyjemnych izdebkach pięknych domów w Karpatach, wiémy, dla czego nas zadziwia zwinność, zręczność, odwaga i wesołość smukłego, przystojnego Górala; wiémy, dla czego serca nasze zajmuje widok pięknéj i hożéj dziéwicy w Tatrach, która z tęczowym rumieńcem na twarzy, z anielskim uśmiéchem na ustach, z niebieskim kolorem ócz, z których radośne niewinnie pałające iskry strumieniami na przychodnia wypływają z niewypowiedzianie ujmującą skromnością i otwartością, a przytem z królewską powagą na czole — zdaje się być wszechwładną panią gór najwyższych i skał najtwardszych. Wszystko to wiémy, i cóż więcéj wiedziéć chcemy? — ja, na teraz, nic więcéj.

G. J.

NAZWISKO PRZEKLĘCTWEM.

Przez długi czas za cesarstwa niejaki Jeannot la Pelissiere, obłąkany na umyśle, siedział zawsze od rana do wieczora na moście zwanym: *Le pont des arts* i obudzał w przechodzących politowanie. Każdy znał go i każdy chętnie mu dawał; nie należał on bynajmniéj do tych natrętnych żebraków, którym dla tego tylko jałmużnę dajemy, że się ich pozbyć chcemy; i owszem zdawało się nawet, iż nie miał zamiaru proszenia; a przecież bądź piérwszy marszałek, bądź sierzant, bądź minister, bądź biédny drażnik, żaden nie przeszedł by go małym datkiem nie udarował. O dawnych okolicznościach jego nie wiedziano, jak tylko, że niegdyś w lepszym był stanie, i że w skutek niepomyślnych wypadków, do których najszczególniéj rewolucyja się przyłożyła, przyszedł do téj okropnéj konieczności przyjmowania jałmużny. Cierpliwie i z rezygnacyją znosił on swoję niedolę, nigdy mu nędza jego do narzekań ust nie otworzyła. Spokojny człowiek ten miał tylko jeden napad dziwaczny, który go w Paryżu prawie słynnym uczynił. Gdy kto jego nazwisko wymówił, wzdrygnął się jak od węża ukąszony, a gdy je powtórzono, i postrzegł, że to czyniono umyślnie, wpadał w wściekłość, brały go konwulsyje, które aż w pewien gatunek kurczu i otrętwienia przechodziły. Przez długi czas starano się nadaremnie odkryć przyczynę tego napadu; dowiedziéć się od niego samego było niepodobieństwem, a prócz niego nie było nikogo, coby miał klucz do téj tajemnicy. Aż nareszcie zagadkę tę rozwiązała śmierć jego, która w r. 1828 nastąpiła. W zostawionych papiérach odkrył sam przyczynę wstrętu ku swemu nazwisku, która tak długo dręczyła wszystkie domysły.

Jeannot la Pelissiére, tak się zwał ten człowiek, był synem majętnego mieszczanina w Paryżu. Zaburzenia rewolucyjne ogołociły ojca jego z większéj części majątku; syn zajął się gospodarstwem, i w miarę jak owczesne okoliczności dozwalały, przemysłem i pracowitością starał się o utrzymanie rodziny. W tym zamiarze pewien interes przymusił go do wyjechania na prowincyję. Właśnie podówczas okrutni możno-władcy zajmowali się z wielką gorliwością wykonywaniem katowskiego rzemiosła. W każdym nieroztważnym kroku najniewinniejszego Francuza,

upatrywano złośliwe, zdradzieckie zamiary; każde płoche i nieostrożne wyrażenie się krwią przepłacano. Z tąd też poszło, iż podczas niebytności młodego Jeannota, ojciec jego bez dostatecznego powodu obudził podejrzenie w popleczników Robespiera. Wiadome są ustawy teroryzmu, jego prawem była przemoc; nic tam nie pomogły, ani żałośne jęki, ani uniewinniania, ani przekonywające dowody. Starego Pelissièra porwano z łóżka i zawlęczono pod gilotynę. Téjże saméj chwili wraca syn do Paryża. Przypadek wiedzie go tąż samą drogą po przed plac Greve. Widzi wzniesione rusztowanie. Wielki natłok ludu zasłania przed jego oczyma osobę, która ofiarą padła. Pyta więc, kto jest ten nieszczęśliwy, a z tysiąca gardzieli grzmi nieszczęsna odpowiedź: »La Pelissière!«

Wieść okropna! — Jeannot został sam z swoją matką. Starał się ile możności miłością synowską i pracą rąk swoich wynagrodzić jéj krwawą stratę. Pracował dzień i noc bez spoczynku. Żył jedynie dla matki. Atoli zgroza i zaburzenia trwały ciągle w Paryżu. Jeannot nie wychodził z domu jak tylko, gdy tego nieodzowna wymagała potrzeba. Ale i to już było dostatecznem do obudzenia podejrzenia i nienawiści w oprawcach. Jednego wieczora siedząc z matką przy wieczerzy, usłyszał na ulicy wielką wrzawę, która się coraz bardziéj do ich pomieszkania zbliżała. Nakoniec nagle usłyszał głos: »La Pelissière! La Pelissière!« Struchlała matka spieszy do okna i otwiéra je. Włóczęgi domyślając się w ciemności, że to syn starego Pelissièra, dają ognia, a matka pada trupem na ziemię.

Tym sposobem własne imię jego stało się mu po raz drugi przeklęctwem!

Nakoniec przeminęły zaburzenia rewolucyjne; zwolna wróciła spokojność na ziemię francuzką; Jeannot żył cicho i bardzo skromnie z uczciwego zarobku. Mało zabiérał znajomości i każdą razą obudzało się w nim bolesne uczucie, gdy go w jakiéj rozmowie po nazwisku wymieniono. Był on mimowolnie tego przekonania, iż w wyrzeczeniu tego słowa jakieś nieszczęście nań czatowało.

Pewna czynność sprowadziła go przypadkiem do domu zacnego fabrykanta w Paryżu. Ci dwaj mężowie przekonali się wkrótce, że ich zdanie i sposób myślenia zupełnie się zgadzały, i że jak jeden tak drugi godni byli wzajemnego zaufania. Po upływie tak burzliwych czasów, w których każdy nawet swego cienia się obawiał, i przed najbliższym krewnym nieraz swoje myśli ukrywać musiał, jest wielce przyjemną rzeczą znaleźć osobę, któréj się człowiek udzieli, i przed którą otwarcie zmartwienia swe wynurzyć może. Jeannot uczęszczał do Bremonta (tak się zwał fabrykant), z początku tylko czasami, a potém nawet codziennie. Po upływie kilku tygodni nudno już było w domu fabrykanta, gdy la Pelissière tylko przez jeden dzień nie przyszedł. Jednakże rzadko to się zdarzało, i zawsze tylko z nadzwyczajnego powodu. Jeannot sam czuł wewnętrzną tęsknotę odwidzania jak najczęściéj Bremonta. Louison, piękna, ośmnastoletnia córka fabrykanta, była dla niego daleko silniejszym magnesem niźli przyjaźń do tego domu. Jakoż Louison nie była nieczułą na westchnienia młodzieńca. Dwoje serc zrozumiało się w krótkim czasie, a miłość i poważanie zawarły związek, który miał być równie tkliwym jak i nierozerwanym.

W takim składzie rzeczy zaczął Jeannot starać się o jéj rękę, któréj mu nie odmówiono. Zostawszy narzeczonym, odzyskał znowu dawny swój wesoły humor. Nie był już samotnym, bez pociechy, w rozpaczy pogrążonym człowiekiem; miał już jakiś cel, jakiś zamiar w swém życiu; tylko jeszcze zawsze tkwiła w nim odraza ku swojemu nazwisku, a gdy w poufném kole nadmieniono niekiedy, jak spokojne i wesołe prowadzi życie, od czasu gdy nową zjednał sobie rodzinę, wtedy mimowolnie wymykało się mu z ust to oświadczenie: »Wszystko byłoby dobrze, gdybym tylko nie miał tego nieszczęsnego nazwiska!«

Jak ojciec tak i córka byli nazbyt skromni, by się dowiadywać o przyczynę téj odrazy, obawiając się, aby nie dotknęli wypadków, któreby go urazić mogły. Jeannot zaś z swojéj strony miał pewien stopień skrytości prawie wszystkim ludziom właściwéj, którzy wiele nieszczęść w swojém życiu doznali. Z tąd też poszło, iż téj rzeczy nigdy dokładniéj nie wyjaśniano.

Zbliżał się dzień zaślubin. Oblubieńcy nasi nie marzyli o niczém, jak tylko o małżeńskiéj rozkoszy; całe ich przyszłe życie wydawało się im usłane kwieciem; nie widzieli oni jak tylko same róże i nie czuli ich kolców, podobnie jak wszyscy nowożeńcy przed lub we dwa tygodnie po weselu. Atoli Jeannotowi wypadło jeszcze przed ślubem wyjechać na czas krótki do Dyżonu. Żałośne było rozłączenie i tylko nadzieja, że się wkrótce zobaczą i odtąd już nigdy nie rozłączą, była jedynem pocieszeniem. Jednego dnia, w czasie niebytności oblubieńca rozeszła się nagle po Paryżu pogłoska, iż rozbójnika, który przed dwoma laty nocną porą hotel margrabiny La Roncière zrabował i właścicielkę w jéj łóżku zabił, nakoniec w Dyżon schwytano i po nastąpioném zeznaniu, publicznie stracono. Zbójca ten zwał się La Pelissière.

Wiadomość ta doszła i do uszu Bremonta, który, chociaż podobieństwem nazwiska z początku mocno dotknięty, późniéj jednakże na tę rzecz nie zwracał żadnéj uwagi. Lecz przeczytawszy na drugi dzień z-rana o tym wypadku w dzienniku *Moniteur* urzędowe doniesienie, wtedy dopiéro wpadło mu na myśl zgadzanie się wszystkich okoliczności. Odraza Jeannota ku swojemu nazwisku, ukrywanie przyczyny, zwlékanie powrotu, a mianowicie jego milczenie w czasie swéj niebytności. Z tém wszystkiém postanowił ukrywać to jeszcze przed swoją córką; ale na nieszczęście idzie z nią do pewnego sklepu dla kupienia jéj niektórych na wesele potrzebnych strojów: papiér, w który te stroje owinięto był to dziennik *Moniteur*. Louison czyta — truchleje — i z krzykiem przerażenia pada nieżywa w objęcie ojca. Nadaremne były wszystkie zabiegi. Ślub w grób się zamienił!

W dwie godzin późniéj przybywa la Pelissière zdrów do Paryża — nieszczęśliwy! słyszy i widzi co się pod niebytność jego wydarzyło. W rozpaczy pogrążony ojciec opowiada mu wszystko, i dowiaduje się od nieszczęśliwego oblubieńca, iż tak milczenie jego jakotéż spóźnienie się z powrotem przez natłok interesów spowodowaném było. Nadmieniony rozbójnik, który na nieszczęście miał także to złowieszcze nazwisko, był dla niego zupełnie obcy człowiek, nie miał on z nim nigdy żadnéj styczności i bynajmniéj nie należał do jego rodziny.

Od tego dnia nazwisko jego obudziło w nim jeszcze większą odrazę. Odtąd zaczął stronić od ludzi, zamknął się w swym pokoju i nie otwiérał drzwi tylko podobnie jak więzień dla otrzymania pożywienia. Kto go po nazwisku zawołał, był jego głównym wrogiem i na wybuchy największéj zapalczywości przygotować się musiał. Zawsze tylko tkwiło w nim to obłędne wyobrażenie, że go własne jego nazwisko unieszczęśliwiło. Manija ta trwała przez czas niejaki, aż nareszcie smutek jego w pewien rodzaj otrętwienia czyli raczéj spokojnego obłąkania się zmienił. Wkrótce wyczerpał szczupły zabytek swego majątku; głód go wygnał szukać pomocy, zaszedł na most zwany *pont des arts*, na którym siedział od rana do wieczora, i utrzymywał życie jałmużną. Lecz nawet i tego czynu tylko się w pomieszaniu swych zmysłów dopuścił; przy zdrowym rozumie nigdyby na to duma jego nie była zezwoliła. Zawsze w myśli zatopiony, nie obrażał nikogo, i nigdy się nie gniewał; samo tylko brzmienie nazwiska jego miało nad nim nadzwyczajną władzę. Gdy je usłyszał, upamiętywał się, poznawał swój stan okropny i w zapalczywość wpadał. Rok 1828 wybawił go z tych cierpień. Na dwie godzin przed śmiercią odzyskał zupełną przytomność umysłu. Mówił bardzo mało. »O n i e s z c z ę s n e n a z w i s k o m o j e!« były ostatnie słowa jego.

RASPAIL PRZECIW ORFILOWI.

W *Gazette des Hopitaux* umieścił Raspail list do doktora Favre w sprawie otrucia, o którą pani Lafarge jest obwiniona, a któryto list we Francyi zwraca na siebie wielką uwagę. Wyjmujemy z niego najważniejsze miejsca. Raspail pisze między innémi: »Widziałem w sądzie trzy przez pana Orfilę przedłożone talérzyki. Gdym wziął opisanie przez Orfilę w sądzie złożone, a nawet miarę z owych plamek, rozmawiałem potém z kilką operatorami, którzy przy operacyi obecni byli i dowiedziałem się w jaki sposób takowa się odbyła. Na dwóch piérwszych talérzykach uzyskano plamki kwasem saletrzanym, ale plamki te, które się na nich pokazały, są tak mało-charakterystyczne i tak drobne, i nadały odczynnikom tak dwuznaczne znamiona, iżbym się bardzo obawiał mieć je za plamki arszeniku, a przytém są one takiego rodzaju, że ich ani zważyć ani oznaczyć nie można. Osadzenie podług tych dwóch talérzyków, byłoby pożałowania godném nieszczęściem, a rychléj lub późniéj miałby sąd sobie do zarzucenia, że za tak mylnym poszedł systemem. Co się tyczy trzeciego talérzyka, po przypatrzeniu się mu i po rozkładzie, o którym z operatorami rozmawiałem, oświadczyć muszę, że plamki na nim się znajdujące, są rodzaju arszenikowego. Lecz nie bądźmy w sądzeniu pośpieszni: bo ja mam w téj mierze zrobić bardzo ważne odkrycie. Plamki na dwóch piérwszych talérzykach są małe, i mają kolor żółty wpadający w szarawy; każda z nich jest jakby plewka z ozionięcia powstała. Plamki na trzecim talérzyku są szérokie i połyskujące się podobnie do szyi gołębia (*gorge de pigeon*) błękitne, w środku śkliste, po brzegach fijałkowo-żółtego koloru. Ale... nie zapominajmy... że w tym sposobie uzyskane są tylko przez użycie saletranu potażu, który pan Orfila dla ostrożności przywiózł z sobą z Paryża. Pan Orfila na zapytanie, które chemicy mianowicie z Limoges w téj mierze mu zadali, chcąc się dowiedzieć, ażali to jest czysty saletran potażu, odrzekł, że się o czystości jego przekonał. Lecz gdy panowie chemicy domagali się koniecznie, aby go poddał pod rozkład, pan Orfila przywiedziony do ostateczności, pogroził, że jeżeli jego rozpoznanie rzeczy zdaje się im wątpliwe, więc zamyśla uchylić je zupełnie.

Wtedy odrzekł pan Bussy: takim sposobem uchylić wypada także dwa piérwsze talérzyki, gdyż one same nie mogą stanowić podstawy do oskarżenia o otrucie. — — Oświadczenia te zdawały się chemikom być tak wielkiéj wagi, że do obwieszczenia ich upoważnienie otrzymałem. Rzekłem do panów chemików, którzy mi dali to skinienie, iż nam daléj rozpoznawać należy, i zapytałem tych panów, gdziebym te przez pana Orfilę pozostawione odczynniki, mógł rozpoznawać; chciałem bowiem rozbiérać je w obec osoby sądowniczéj. Ci panowie odpowiedzieli mi, że pan Orfila wszystkie swe odczynniki pozostawił u aptékarza Bories, wyjąwszy potaż, cynk i saletran potażu, za pomocą którego na trzecim talérzyku plamki uzyskał.« — — Gdy oskarżenie grzmiącym głosem powstaje przeciw obronie, wtedy jest słuchane; dla czegoż mielibyśmy zamykać usta obronie, która w postępowaniu oskarżenia uchybienie formalności wykazuje? — — Mamże wpanom powiedzieć otwarcie moje zdanie? Przypuśćmy, iżbym w obronie Maryi Capelle poszedł był za postępowaniem pana Orfili, i przywiózł umyślnie z Paryża saletran potażu, jako jedyny sposób do wynalezienia trucizny, w przypadku, w którym żaden inny odczynnik, aby jednego atomu nie wykazał; cóżby na to powiedział adwokat jeneralny? Może to: »Sąd nakazuje, aby chemik, który się podjął téj obrony, na publicznem posiedzeniu pokazał flaszeczkę z salétranem potażu, który przywiózł z Paryża, by go można poddać pod kontrolę chemików, którzy przed sądem już wyznanie zrobili.« — A niechżebym się wzbraniał temu rozkazowi być posłusznym, cóżby oskarżenie na to rzekło? Oto wziętoby do protokułu moje wzbranianie się, dla pociągnienia mnie w przynależném miejscu jako podejrzanego o fałszywe świadectwo do odpowiedzialności. Przeciw takiemu postąpieniu niktby nic miał nic do zarzucenia. A przecież nic podobnego nie spotkało pana Orfile; i tak z powodu téj jednéj operacyi, któraby u mnie wzięto za podejrzaną, a którą u pana Orfili przyjęto za świętą prawdę, została Maryja Capelle na infamiję skazana. Sąd przysięgłych był tego przekonania, że ta ilość arszeniku, któréj zważyć nie można było, a która na talérzykach się pokazała, zupełnie o otruciu arszenikiem poświadcza; ilość, którą pan Orfila na pół milligranu podał, a którą ja za mniéj niż za setną część milligranu uważam. Gdyby sąd przysięgłych wiedział był najprzód, że ta ilość jest za mała do sprowadzenia otrucia, powtóre, że ta ilość pochodzi z odczynnika, który umyślnie z Paryża przywieziono, na ten czas sąd przysięgłych nie byłby Maryję Capelle o otrucie arszenikiem obwinił: gdyż wszystkie moralne prawdo-podobieństwa znikają, gdy naocznie *Corpus delicti* zbywa.« — Następnie Raspail oświadcza, że tu umieszcza tylko napomknienia o rozprawie, którą z polecenia obrony najwyższemu sądowi przedłoży. Zresztą na inne zarzuty odpowiadać będzie w pamiętniku, który obecnie pisze.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 43. i obejmuje: 1) O rozprawach na zgromadzeniu gospodarzy wiejskich i leśnych, w Bernie upłynionego września zebranem. (Ciąg dalszy). 2) Sposób macerowania nawozu, przez pana Bohte zarządcę dóbr ks. Lichtensteina. 3) O rozwolnieniu jagniąt, pr. Sebastyjana Hanenschild w Oberhollabrunn. 4) Wiadomości czasowe.

W Wiédniu nakładem księgarni Józefa Wenedykta wyszło tego roku dziełko, pod tytułem: *Bajki mazurskie i poezyje* J. N. Gatkowskiego (Str. 99 in 12.)

Witoloraudа. Pieśń z podań Litwy, przez J. J. Kraszewskiego. (Wilno roku 1840 str. 256). — Poemat opiéwający mitologiczne podania Litwy, ubarwione podaniami i wyobrażeniami przedchrześcijańskiego litewskiego ludu, oraz bujną wyobraźnią autora. Ostatniéj tak szczęśliwie użył, że trudno prawie odróżnić, co jest jego własnością, a co czerpał z narodowéj skarbnicy. Na wszelki przypadek winniśmy wdzięczność w tak różnych zawodach zbogacającemu literaturę naszę autorowi, że nas obdarzył dziełem, jakiego dotąd w podobnym przedmiocie nie mieliśmy. Wiérsz gładki, lubo nierymowy, przyjemnie się czyta, do czego także przyczynia się wiele piękny, poprawny język, nicoszpecony, wzorem niektórych spaczony smak mających nowszych pisarzy naszych, pełnemi dziwactwa zwrotami i wyrazami. By litewskiego w smaku poety użyć porównania: wiérsze *Witoloraudy* są to sznury czystych bursztynów, zawieszone na białéj szyi jasno-włoséj dziewy z nad Niemna. *S. J.*

Przygotowania do przyjęcia zwłoków Napoleona. Do uroczystego przyjęcia zwłoków Napoleona, które w tych czasach na ziemię francuzką przywiezionémi być mają, czynią teraz wielkie przygotowania. Płytki statek mający na swym pokładzie trunnę, zawinie do Courbevoie, gdzie zgromadzone władze zwłoki byłego cesarza pod bramą tryjumfalną przyjmować będą. Cały orszak wyruszy ku rogatkom *de l'Etoile* i ciągnąc przez pola Elizejskie, do Paryża wjazd odprawi. Wzdłuż całéj drogi wewnątrz miasta wzniesione będą po obu stronach wytwornémi draperyjami przyozdobione ławki stopniowo w górę idące. Ponieważ plantacyje są naprzeciw mostu inwalidów, przeto orszak mógłby przez most przeciągać; ale ponieważ się okazało, że most z główną bramą hotelu inwalidów nie formuje prostéj linii, więc dla sprostowania perspektywy i utworzenia symetrycznego obrazu, postanowiono całkiem w pobliżu znajdującego się mostu wystawić drugi most łyżwowy. Cały ogromny dziedziniec domu inwalidów wyłożony będzie fijałkowo-błękitnym aksamitem, zaopatrzony poddaszem i przemieniony w gorejącą kaplicę. Do oświetlenia téj kolosalnéj kaplicy miryjady jarzących świéc przeznaczono. Administracyja zajmująca się rozrządzeniem téj uroczystości żałobnéj, zamówiła w Niemczech 24 okazałych szlachetnéj rasy koni białych. Koszta przywozu i złożenia śmiertelnych zwłók byłego cesarza, pół czwarta milijona franków wynosić będą; zresztą rozumié się, że w to koszta żeglugi na wyspę Śtéj Heleny policzone nie są.

Najnowszy gabinet morski. Książę Polidoro w Rzymie kazał sobie obić gabinet w zupełnie nowym sposobie, któremu *gabinetto marino*, to jest gabinetu morskiego dał nazwę. Sciany powleczone są zielonym morskiego koloru merynosem, nad którémi bardzo wolno śrébrną gazę rozpięto. Na około ścian porobione są małe otwory; témi idzie bez ustanku strumień wiatru, prowadzony ukrytémi miechami, które rzeka Tyber za pomocą koła porusza. Wiatr ten utrzymuje śrébrną gazę w nieustannem wełnistém poruszeniu, które wielki efekt sprawia. Efekt ten bywa niérównie jeszcze większy, gdy w gabinecie pozamykają wszystkie okna, złożone z różnych szyb kolorowych, których barwy na ruchoméj materyi śrébrnéj czarodziejsko się odbijają. W dolnym otworze stawiają w lecie, duże cebry z lodem, przeco bardzo przyjemny chłód powstaje. Wszystkie meble w tym gabinecie złożone są z drzewek koralowych, i równie jak podłoga lśniącémi muszlami pokryte. W przyległéj grocie z nacieków (stalaktytów) szumi wodostok, spadający na harmonijnie ustawione dzwonki szklanne, które podobny do arfy Eola dźwięk wydają.

Gabinet ten pod wieczór oświetla się z góry, gdyż strop przedstawia niebo, a gwiazdy na nim osadzone są ze szkła, które mdławo jest szlifowane.

Mehmed Ali. Pewien francuzki podróżny opisuje starego Baszę Egiptu w sposób następujący: »Przyjmował on mnie w wielkiéj sali wychodzącéj na morze. Szeroki dywan z czerwonego jedwabiu z grubémi frędzlami w około ścian rozpostarty, stanowi jedyne upiększenie téj sali; tylko dwa malowidła przedstawiające morskie wybrzeża, zdobią ściany. W czasie moich odwidzin wlatywało do sali z wielkiém mém podziwieniem mnóstwo małych ptaków, które w około nas latając, niebardzo przyjemném swém świergotaniem, wtórowały naszéj rozmowie. Mehmed Ali, pomimo siwéj brody, która aż na piersi mu spada, wydaje się prawie tak krzepki jak młodzieniec. Jest małego wzrostu, ma chytry i bystry wzrok, regularne rysy twarzy, i białe zęby. Ramiona ma nieco wysokie, ale chód bardzo żywy; mając zwyczaj trzymania szabl w tyle oburącz horyzontalnie, przypomina postawę Napoleona. Dzień i noc u drzwi pałacu stoi dla niego koń osiodłany. Ubiór jego, gdym go odwidzał, był bardzo skromny; nie miał nawet na piersiach dekoracyi, która księcia oznacza. Ma on szybką i dobrą wymowę, i na wszelkie zapytanie, z zadziwiającą dokładnością odpowiada. Wiadomo, iż Mehmed Ali jest największym kupcem w świecie, i właśnie przezto odznaczają się jego dworzanie nad innymi, iż nietylko sprawami Wschodu, ale nawet handlem, polityką i cenami bawełny się zajmują. Basza prowadzi bardzo skromny sposób życia; wstaje ze świtem i daje posłuchanie aż do godziny jedynastéj. Potém zjadłszy obiad, odpoczywa czas niejaki, i udaje się do jednego z ogrodów, które za miastem pozakładał. Świta jego nie ma w sobie nic imponującego; nie niosą za nim ani buuczuku ani téż półksiężyca; jeździ on skromnie do ogrodów w czworo-sprzężnym dosyć lichym powozie.

Scena w sądzie paryskim. Pewna zgrabna i przystojna służebna wchodzi z spuszczonémi oczyma do sądu, gdzie podała zaskarzenie na swoję panię, która ją żelazem kuchennem bijąc, na białéj twarzyczce jéj, sińców narobiła. Panna Wirginija opowiada męczeństwo swoje w sposób następujący: »Zostawałam przez niejaki czas bez obowiązku, gdy oto przyjaciółka moja doradziła mi, abym małe obwieszczenia czytała, zapewniając mnie, że tym sposobem wkrótce przyzwoite miejsce dla siebie znajdę. Jakoż w saméj rzeczy w kilka dni dowiedziałam się z tych obwieszczeń, że pewna dama szuka młodéj, schludnéj, wiernéj, łagodnéj i statecznéj służącéj do dziecka. A że nie chwaląc się, posiadam wszystkie te wymienione zalety, jak stwierdza świadectwo dwoch osób, u których służyłam; udałam się więc do téj pani. Zobaczywszy ją, zdziwiłam się z razu, że w tak podeszłym już wieku a ma jeszcze dziécię, które piastunki potrzebuje; ale pomyśliłam sobie, że to zapewne będzie babka dziécięcia.« Obwiniona: »Bezwstydna!... co mówisz!« —Prezydent: »Milcz wpani, nie przerywaj skarzycielce.« — Obwiniona: *(wrzaskliwym głosem)*: »A więc nie dozwól wpan, aby mnie to nikczemne stworzenie znieważało.« — Prezydent: »Znam moje powinności, sąd nie dozwoli, aby ją oskarzycielka znieważyła...« *(Do oskarzycielki)* »Mów daléj.« — Oskarzycielka: »Pani przypatrywała się mi od stóp do głowy, oglądała moje ręce, kazała sobie pokazać zęby, słowem, nie było końca tego przeglądu..., potém pytała mnie z kąd jestem rodem, jaka moja familija, i jakie mam nałogi i skłonności; czy jestem pobożną, czy się modlę w wieczór i z-rana, czy mi ospę szczepiono, koniec końcem, nie jestem w stanie wyliczyć wszystkich zapytań, które mi zadawała... odpowiedziałam na wszystkie z zupełném jéj zadowoleniem. Ona rzekła, że mi wyznacza 200 franków pensyi, a jeżeli się mi podoba, mogę na drugi dzień w służbę wstąpić. Odrzekłam, że przystaję, i prosiłam, aby mi dziecię pokazano... Pani odpowiedziała mi, że je zaraz przyniosą; poczém zadzwoniła i rzekła do kucharki, która do pokoju weszła: »Przynieś mi mego lubaszka *Lowe!*« Za chwilę ujrzałam kucharkę wchodzącą do pokoju z małym pinczem, który nad wszelkie pojęcie był brzydki i zjadliwy.« — Obwiniona: »A już tego nie zniosę!... Ta nic dobrego, nawet umarłych nie szanuje!« — Prezydent: »Milcz téż wpani!« — Obżałowana: »Zdaje się, że tu wszelką obronę mają tylko dziéwczęta!« — Oskarzycielka: »Oto masz mojego lubego wychowańca, rzekła do mnie pani; »będziesz go karmić, czesać... prowadzić na spacer... zalécam ci jak największą dla niego łagodność... Pieść się z nim, rozmawiaj, głaszcz go i stosuj się we wszystkiém do jego chęci... Nie mało m się zdziwiła, kiedym odpowiedziawszy na tyle zapytań, nareszcie ujrzała psa, którego mi pieścić, rozmawiać się z nim i na spacer wodzić go kazano; z tém wszystkiem, gdym pomyślała sobie, że służba nie bardzo jest ciężką, przyjęłam na siebie ten obowiązek i nazajutrz wstąpiłam w służbę. Codziennie musiałam znosić najprzykrzejsze przymówki... Gdy *Lowe* jeść nie chciał, wtedy ja byłam przyczyną, że zasłabł; gdy się zdawał być smutny, wtedym ja go zapewne biła...« — Prezydent: »Wymień wpanna pokrzywdzenie, na które się uskarzasz.« — Oskarzycielka: »Muszę panu powiedzieć, że *Lowe* miał jeden brzydki nałóg, to jest: iż przy każdéj kupie śmiecia stawał, dla zobaczenia czy nie znajdzie w niéj jakiéj kości do ogryzania. Aże mi pani nakazała, abym się mu w niczém nie przeciwiła, pozwoliłam mu więc bawić się po śmieciu. Jednego dnia nieszczęście chciało, że nadzwyczaj spiesznie pędząca karyjolka, przejechała *Lowego*. Za powrotem do domu, gdym drżąca z przestrachu opowiedziała pani ten przypadek, zaczęła na mnie miotać najobelżywsze słowa i chwyciwszy w rękę żelazo od ognia, uderzyła mnie niém w głowę, a nawet w twarz kilkakrotnie... Nad prawém okiem, które zupełnie posiniało, guz mi wyskoczył. Gdyby była ugodziła cokolwiek niżéj, byłaby je całkiem wybiła.« — Prezydent: »Nie mówiłażeś wpanna nic do pani, coby ją oburzyć mogło?— Skarzycielka: »Nic bynajmniéj, mój panie. Powiedziałam tylko, że bardzo ubolewam nad tym przypadkiem, lecz że nie moja w tém wina.« — Prezydent: *(do obżałowanej)* »Słyszałaś wpani, co oświadczyła ta dziewczyna. Jak się mogłaś tak dalece zapomnieć i tak boleśnie skrzywdzić tę dziewczynę?«—Obżałowana: »To jędza! smok! poczwara! Szczęściem dla niéj, żem jéj tak nie zabiła, jak ona moje pieszczotę zamordować dała! Ach mości prezydencie! Gdybyś go był widział, było piesek tak ładniutki, tak filuterny, tak rozumny!« — Prezydent: »My nie jesteśmy tutaj dla słuchania pochwały psa wpani; czy masz powiedzieć co na swoje usprawiedliwienie?« — Obżałowana: »Nawet teraz, gdy jest wypchany, patrzy tak słodko i milutko, iżbyś przysiągł, że on mówić z waćpanem pragnie.« — Pomimo największego usiłowania ze strony prezydenta zganić postępek obżałowanéj, nie mógł przyjść do słowa, tak się mocno rozwodziła w pochwałach i żałośnych narzekaniach nad stratą swego pieszczoszka. Sąd skazał ją na 100 franków kary, a 50 franków nagrody dla panny Wirginii.

REDAKTOR J. N. KAMIŃSKI. — NAKŁADEM SPADKOBIERCÓW F. KRATTERA. — DRUKIEM P. PILLERA.